

Pocztówka z Kamerunu

Wyobrażenia moje o Kamerunie sprowadzały się do stwierdzenia, że jest to kraj położony w Afryce równikowej i zamieszany przez ludność murzyńską. Kiedy zrzędzeniem nieprzewidywalnego losu znalazłem się w tym właśnie kraju, przyszło mi porównać dotychczasowe wiadomości z rzeczywistością i szybko korygować te pierwsze, boć tę drugą zmieniać jest niezwykle trudno.

Już na wstępie zaskoczenie. Łączność na trasie Paryż – Yaoundé (stolica kraju) utrzymuje olbrzymi Airbus 340, dysponujący ok. 300 miejsc i wypełniony prawie w komplecie. Sama stolica, położona kilka stopni od równika, otoczona jest stale zielonymi lasami i licznymi rozlewiskami. W powietrzu przy temperaturze 35-40 °C wyczuwa się dużą wilgotność, która sprawia większą przykrość osobom przybyłym z rejonów, gdzie temperatura w styczniu powinna oscylować wokół -10 °C. Około 1000 km na północ od Yaoundé leży Maroua – stolica prowincji północnej. Pomimo, jak na Afrykę, niewielkiej odległości dzielącej te miasta klimat i roślinność zmieniają się radykalnie. Prowincja Maroua to typowa sawanna, taka, jaką ogląda się w filmach telewizyjnych o życiu afrykańskiej zwierzyny. Teraz, w końcu tutejszego lata, trawa jest spalona słońcem, sterczą łodygi uschniętych roślin i co jakiś tylko czas widać pojedyncze drzewo, zachowujące jednak zielone liście, skutecznie chronione długimi kolecami. Do kompletnego brakuje tylko widoku skradającego się lwa, bo zwierzynę – wprawdzie tylko wychudzone kozy i miejscowe bydło z długimi na pół metra rogami – na horyzoncie dostrzec łatwo.

Powróć jeszcze do stolicy kraju – Yaoundé. Jak zresztą wszędzie w Afryce, występuje tutaj połączenie przeciwstawnych zjawisk i przemieszanie sprzeczności, z tym jednak, że skrajności te potrafią (no, może poza kilkoma wyjątkami) jakoś ze sobą współegzystować. I tak, tereny zielone są przedzielone obszarami pozbawionymi jakiegokolwiek roślinności. Duże ładne budynki o ciekawej architekturze, z palmami zasadzonymi na dachach (hotel Hilton czy gmach Ministerstwa Łączności), sąsiadują z tonącymi w śmieciach i brudzie „bazarami”. Te bazy to właściwie handlarze wszelkim towarem najgorszej jakości (apratycznie odpadkami), podawanym wprost z asfaltu ulicy. A żeby było jeszcze bardziej kontrastowo, w tym morzu brudu i najgorszej tandety tkwi kilkanaście stoisk obudowanych ścianami zplecionych mat i kawałków płótna, wystawiających na sprzedaż wspańnię egzemplarze sztuki ludowej, takie jak hebanowe maski, przedmioty kultowe, cudownie rzeźbione 1,5-metrowe kły słoni i inne wyroby rzucające swym wyglądem na kolana osłupiałego przybysza. Dla pełnego obrazu mieszaniny wrażeń należy dodać, że wszystko to znajduje się pod dużym napisem wykonanym na płótnie o wymiarach 4x1 m, informującym, że znajdujemy się w Państwowym Ośrodku Sztuki Ludowej. Tych, którzy zamierzają skorzystać z oferty „ośrodka”, informuję, że ładną hebanową maskę o wymiarach ok. 15x30 cm można nabyć już za równowartość 40 do 100 FRF (czyli 25-60 zł). Pragnę wszelako przestrzec, że na tym skrawku terenu, w niewyobrażalnym tłoku, jest

się zaczepianym przez kilku natrętnych sprzedawców naraz, akazdy usilnie stara się wcisnąć komuś swoje wyroby. Gdy jednak urzeczony pięknem maski turysta weźmie ją do ręki, pojawia się prawdziwy problem, jak ją sprzedawcy zwrócić. Od tej chwili oczekuje on bowiem jedynie gestu dobywania pieniędzy, maski zaś po prostu nie chce odebrać. Ale jest to też element miejscowego folkloru, chociaż w jego nadmiarze łatwo utracić portfel.

Po pełnym wrażeń dniu wylądowałem w restauracji hotelu poselskiego i oczywiście znalazłszy w karcie dań salamandrę przyrządzoną we własnym sosie nie byłem w stanie powstrzymać się od jej zamówienia. Salamandra okazała się daniem bardzo smacznym i gorąco polecam ją wszystkim tym, którzy do płazów nie żywią nieuzasadnionych uprzedzeń. O dalszych wrażeniach, w tym również kulinarnych, postaram się czytelników GEODETY poinformować w następnym numerze, chyba że sam stanę się... przedmiotem kulinarnych doznań.

Celowo nie zamierzam przytaczać okoliczności, które sprawiły, że przebywam w Kamerunie. Zdradzę jedynie, że jest to zajęcie częściowo tylko mające związek z geodezją, na tyle jednak zauważalny, że zamieszczenie tych spostrzeżeń w GEODECIE – miesięczniku wszak poświęconym geodezji i geoinformacji – pozostaje uzasadnione.

Z.K.

CIEKAWA PRACA

**Redakcja GEODETY
poszukuje
pracowników etatowych
oraz korespondentów
w kraju i za granicą**